

665

Z notatnika RECENZENTA

»Komu bije dzwon«

HENRYKA WACH-MALICKA

Z ogromu treści i myśli naj-słynniejszej książki Ernesta Hemingway'a, autorka jej scenicznej adaptacji — Lidia Zamkow — wybrała — przede wszystkim — szkielet wydarzeń, pozostawiając teatrowi obudowanie go emocją i dramatycznym napięciem. Ten margines zaufania z pewnością kuszą realizatorów, ale stanowi dla nich niebezpieczeństwo, albowiem trzeba niezwykle sprawnej ręki reżysera i wyrównanych sił aktorskich, by wypełnić go refleksją porównywalną z wrażeniem, jakie pozostawia literacki pierwowzór. Powiedzmy od razu — nie spełnia tych oczekiwań przedstawienie, które na kanwie prozy Hemingway'a przygotował Teatr Zagłębia w Sosnowcu w reżyserii Janusza Ostrowskiego.

Pozostawia ono niedosyt dwojakiej natury. Po pierwsze, nawet najbardziej logiczny wybór powieściowych wątków i sytuacji zubaża ten utwór, w którym każda postać i każde zdarzenie zasługuje na odrębną i wnikliwą analizę. Adaptacja Lidii Zamkow przypomina większość faktów ważnych dla toku narracji, ale — siłą rzeczy — czyni to powierzchownie, a czasem wręcz nieprzekonująco, skutkiem czego ta sceniczna wersja „Komu bije dzwon” bardziej jest brykiem, niż wykładnią, lub dyskusją z myślą autora. Gdyby jednak pominąć relację książka—adaptacja i skupić się wyłącznie na kształcie inscenizacyjnym utworu, to i wtedy trudno o zachwyt. Spektakl zbudowany jest na zasadzie ciągu migawek o wyraźnie filmowym rodowodzie. Janusz Ostrowski rysuje granicę między punktem wyjścia, jakim jest „spowiedź” ранego Jordana, a retrospekcją, układającą się w ciąg wydarzeń poprzedzających katastrofę. Te granice wyznaczają — przede wszystkim — zmiana stopnia oświetlenia sceny i zróżnicowania środków aktorskich Jacka Brzostyńskiego, który gra rolę głównego bohatera.

Filmowa konstrukcja inscenizacji wymaga jednak precyzji wykonania, a tymczasem w sosnowieckim przedstawieniu ten element po prostu nie istnieje. Po najbardziej dramatycznych wydarzeniach widownia śledzi z rozbawieniem, jak

aktorzy po omacku pełzają na drugi kraniec sceny, by wyłonić się po sekundzie w kolejnym obrazie. Za szóstym razem przestaje to nawet bawić, a budzi irytację i burzy nastrój, moźolnie konstruowany przez wykonawców. Teatr to sztuka iluzji i konwencji ale — umowy się — właśnie dlatego nie wolno nadużywać cierpliwości widza, który — obok spraw wzniosłych (o takich się przecież mówi ze sceny), jak na dłoni widzi tu teatralną podszewkę.

Męczy to chyba i aktorów, których nie stać na zbytek emocji; przez cały spektakl miałam wrażenie, że słucham fragmentów prozy Hemingway'a, rozpisanych na głosy, lub uczestniczę dopiero w próbach. Bronią się tylko Elżbieta Gorzycka jako Pilar i Jacek Brzostyński jako Robert Jordan, bo tylko oni dopisują słowom postaci ich charakter i osobowość. Nie mam prawa sądzić, że pozostałym wykonawcom brakło możliwości, albo chęci zagrania prawdziwych ludzi, ale musiało się zdarzyć coś, co im to uniemożliwiło. Elżbieta Gorzycka to Pilar oschła, ostra, nawet odpychająca, ale jednocześnie głęboko mądra i bardzo kobieca w swej intuicji i goryczy, zrodzonej z obserwacji ludzi i świata. Jacek Brzostyński unaocznia proces dojrzewania Jordana, który w ciągu kilku dni staje się innym człowiekiem. To widać (najdosłowniej) na scenie i to słychać, bowiem aktor, świadom swych możliwości głosowych, czyni z nich jeszcze jeden (tak przecież ważny) środek wyrazu. Ale nie ma już ewolucji uczuć w grze Elżbiety Laskiewicz, która rysuje Marię — jedną z najwspanialszych bohaterek literatury światowej — płasko i nieco infantylnie, identycznie na początku i na końcu tej historii, tak, jakby miłość do „obcego” była tylko zwykłym romansem. Nie ma też w przedstawieniu towarzyszy broni, których przywidły do tej gromady różne racje i różne drogi.

Jest za to piękna scenografia Jerzego Moskala, wieloznaczna ale czytelna i pozostająca w pamięci, tak, jak Pilar i Jordan. Dobrze i ta.